NUMER

115

1950

PORADNIK ŚWIETLICOWY

wydawnictwo
Światowego Komitetu
Y.M.C.A.
Sekcja Polska
w W. Brytanii

Od redakcji

Tytułem eksperymentu zamieszczamy w numerze obecnym jednoaktowy utwór sceniczny Teodozji Lisiewicz, przeznaczony zasadniczo dla młodzieży. Wykonawcami mogą być oczywiście dorośli. Głód repertuaru tego rodzaju dawał się odczuwać szczególnie dotkliwie. Bylibyśmy radzi, gdyby polskie ośrodki zainteresowały się naszą próbą i podjęły wysiłek w celu wystawienia „Pazura Niedźwiedziego". Chętnie udzielimy wskazówek reżyserskich. W razie potrzeby prosimy o nawiązanie z nami korespondencji bezpośredniej.

Uważamy również za nasz obowiązek zwrócić uwagę na szkic Marii Danilewiczowej p.t. „Z notatnika bibliotekarza". Autorka wskazuje nowe możliwości zaspokajania naszych potrzeb czytelniczych. Nie zaniedbując bibliotek własnych, należy w pełni wyzyskać inne drogi, o ile wymagają tego okoliczności.

TREŚĆ:

PRENUMERATA: Roczna — £ 1 sh. 1/-. Półroczna — sh. 12/-.
Cena numeru pojedyńczego sh. 2/-, podwójnego sh. 4/- wraz z przesyłką.

OGŁOSZENIA: 1/1 str. — £ 40. 1/2 str. — £ 21. 1/4 str. — £ 11. 1/8 str. — £ 6. 1/16 str. — £ 4.

Printed by: Drukarnia Polska M. Caplin & Co., Press Ltd., 15, Dunheved Road North, Thornton Heath, Surrey. Tel. THO 2727

PORADNIK ŚWIETLICOWY

ADVISER FOR EDUCATIONAL AND SOCIAL WORKERS

Rok 11 Nr 115	Wydawca: Światowy Komitet Y.M.C.A., Sekcja Polska w W. Brytanii, 6, Cadogan Gdns, London, S.W.3, tel. SLOane 8821.	Marzec 1950

FELIKS BIELSKI

SAMOPOCZUCIE

„Jak się masz?" To codzienne pytanie — ufryzowane stylistycznie odpowiednio do stopnia wzajemnej zażyłości — w normalnych warunkach wydaje się gestem zdawkowej kurtuazji, właściwie pozbawionym treści. Jeśli jednak chodzi o stosunki emigracyjne, poza tymi pospolitymi wyrazami kryje się nieraz prawdziwe zatroskanie. Jeżeli w otrzymanej odpowiedzi dostrzegamy niepewność, wahanie, zwątpienie lub gorycz, czujemy się zaalarmowani. Jeden punkt w naszym otoczeniu ludzkim zawodzi.

Każda żywa istota odczuwa nieodpartą potrzebę mocnego ustawienia się w środowisku społecznym tak, by mogła liczyć na zachowanie godności osobistej i wewnętrznej równowagi. I to jest problem najważniejszy. Nie chodzi o zabezpieczenie materialne, lecz o pewien ustalony stosunek do danej grupy ludzkiej. Wiadomo, że prawdziwe zadowolenie udaje się nieraz osiągnąć bardzo skromnymi środkami, o ile potrafimy uzyskać właściwe tło społeczne.

Jest wiele przyczyn, które sprawiają, że samopoczuciu uchodźców zagrażają szczególnie gwałtowne niebezpieczeństwa. Wiadomo, jakie skutki powoduje wytrącenie ze swojskiego otoczenia i długotrwały pobyt wśród obcych. Gdyby nawet okazywano nam jak najserdeczniejszą gościnność i życzliwość, nie zastąpią one — bo zastąpić nie mogą — tego poczucia zagospodarowania się na swoim, jakie daje pobyt na własnej ziemi wśród rodaków. A jeśli pojawią się tarcia, trudne do uniknięcia na dłuższą metę, napięcie wewnętrzne rośnie, prowadząc do różnorodnych powikłań.

Innym zjawiskiem ujemnym jest zamęt w stosunkach rodzinnych. Nie odczuliby go może w stopniu równie silnym Brytyjczycy, u których wyobrażenie „ogniska domowego" (home) zdaje się górować nad związkami rodzinnymi. Polacy jednak przywykli do innego układu stosunków. Jeśli nawet jednostkom udaje się założyć na obczyźnie rodzinę, brak nam tych rozgałęzionych wiązadeł, jakie wytwarzają się tam, gdzie żyją wszyscy krewni, utrzymując łączność wzajemną. Wynikiem rozbicia układów rodzinnych jest zawalenie się rusztowania hierarchii, wyznaczającej każdemu jakieś określone miejsce i dzięki temu chroniącej przed niepokojami i rozterką.

Jeszcze jaskrawiej rzucają się w oczy powikłania, towarzyszące przesunięciom w hierarchii zawodowej. Jeśli osoba, która ma za sobą studia wyższe i doświadczenie w zakresie nabytej specjalności, pracuje jako wyrobnik w jadłodajni, stan taki nie rokuje spokoju psychicznego. Jakie będą następstwa, zależy to od tysiąca okoliczności indywidualnych. Jedno jest pewne: nie obejdzie się bez wrzenia, bez buntu, bez mniej lub więcej bolesnych oporów. W najlepszym razie wytwarza się przewrażliwienie, podnoszące stosunkowo drobne dolegliwości życiowe do rangi żywiołowych kataklizmów.

Uchodźcom daje się dotkliwie we znaki brak poczucia bezpieczeństwa. Mało zorientowani w miejscowym prawodawstwie, zaczynają lękać się każdej niezwykłej sytuacji i stają bezradni wobec przeszkód, które w normalnych warunkach pokonaliby bez wysiłku. Są onieśmieleni, doznają wrażenia stąpania po niepewnym gruncie; aby ten nastrój zamaskować, zachowują się z przesadną swobodą lub nawet arogancją, co znów z kolei wywołuje przeciwdziałanie i przyczynia się do pogorszenia sytuacji. Nierzadkie są przypadki użalania się na rzekome prześladowania.

Wspomnieć wreszcie należy o trudnościach językowych. Dopóki porozumienie ogranicza się do prostych spraw codziennych, wszystko jest w porządku. Dlatego właśnie osoby, których potrzeby dadzą się zamknąć w ramach elementarnego słownictwa, stosunkowo szybko zżywają się z otoczeniem. Jeśli jednak trzeba wyrazić sprawy złożone, czujemy zazwyczaj, że nie dajemy miary naszych właściwych możliwości, że wskutek tego doznajemy krzywdy. W wyniku potęguje się nastrój zahukania i niedosytu.

Jak na te dolegliwości zaradzić? Najpierw przez zdanie sobie sprawy z naszego osobliwego położenia. Sama diagnoza przynosi korzyść, pozwala bowiem na bardziej rzeczową ocenę naszej sytuacji społecznej. Dalej należy wyzyskiwać okazje do przeżyć, podnoszących na duchu. Do tego celu służą tradycyjne obchody świąteczne, uroczystości patriotyczne, imprezy artystyczne i tp. O ile to tylko możliwe, warto stwarzać dla siebie i dla innych pole, pozwalające na właściwe wyładowanie uprawnionych ambicji. Brytyjczycy przywiązują ogromną wagę do zamiłowań specjalnych; droga ta stoi otworem dla wszystkich. Wreszcie niezwykłych rzeczy dokonywa zwykła ludzka życzliwość i zrozumienie dla tych oporów, które pokonywać muszą inni.

Byłoby nieuzasadnionym, a nawet karygodnym zarozumialstwem podawanie jakichś uniwersalnych recept o wygórowanych pretensjach. Jak należy postąpić w przypadkach konkretnych, zależy to od okoliczności, których przewidzieć nie sposób. W rozważaniach naszych chodzi jedynie o zasygnalizowanie pewnych wspólnych niebezpieczeństw. Reszty dokonać winno poczucie naszego wspólnego dobra.

ŚWIETLICA

technika pracy — zagadnienia kulturalne i oświatowe

OLGA ROESSLER-ŻEROMSKA

O inscenizacji śpiewno-tanecznej

Nie szukamy sztuki gotowej, napisanej na scenę. Sami chcemy stworzyć widowisko, oparte na motywach różnych polskich pieśni. Wybór mamy niemały. Śmiało powiedzieć można, że postacie z popularnych piosenek, postacie krakowiaków, mazurów, górali, chłopów i kozaków składają się na żywy, niezmiernie charakterystyczny obraz życia Polski dawnych czasów. Oryginalność i szczerość polskiej pieśni podkreślali wszyscy jej badacze, począwszy od pierwszego — Zoriana Dołęgi Chodakowskiego, kończąc zaś na dzisiejszych muzykologach i etnografach. Adam Mickiewicz w swoich prelekcjach paryskich wiele mówił o rodzimości, uroku polskiej pieśni ludowej, którą w „Konradzie Wallenrodzie" nazwał „arką przymierza między dawnymi a nowymi laty".

W ostatnich latach przed drugą wojną światową grupa etnologów rozpoczęła badania źródłowe nad polskimi tańcami ludowymi. Tancerze i śpiewacy zaczęli interesować się autentycznymi formami chłopskiego tańca i pieśni. W latach 1938—9 na scenach warszawskich można było zobaczyć nieznane zupełnie szerszemu ogółowi formy tańców Wileńszczyzny jak na przykład lawonicha, olimpia, czy juroczka. Tacjanna Wysocka wraz ze swymi tancerkami opracowała tańce kurpiowskie, kaszubskie i po dziś dzień na wsi tańczonego drabanta. Wszystkie te tańce były naprawdę urocze. Jeden stąd wniosek, — że zbyt długo w widowiskach zarówno teatru zawodowego, jak i niezawodowego ograniczaliśmy się do najbardziej znanych i popularnych form muzyczno-tanecznych. Praca etnologów wzmogła się obecnie w kraju na sile. Dlatego warto śledzić wydawnictwa krajowe, poświęcone kulturze ludowej.

W pracy naszej na obczyźnie niejednokrotnie odczuwać będziemy boleśnie oddalenie od Polski, trudność zdobycia materiałów brak polskiej książki. Wyzyskać natomiast możemy inny fakt. Wojna wyrzuciła nas na brzeg obcy z różnych gniazd, różnych stron polskich. Stanowimy tu przekrój różnych warstw narodu, przedstawicielstwo różnych ziem kraju. Wiele rzeczy może nieraz pokazać sąsiad, wychowany na przeciwległych rubieżach Polski. Parę dni temu, w jednym z hosteli, pokazano mi bardzo ciekawą, mało znaną formę kołomyjki. Melodię polki kaszubskiej zapisałam w innym hostelu, kierując się wskazówkami dwóch dziewcząt, pochodzących z Pucka. A w zespole tanecznym YMCA jednym z najlepszych moich tancerzy jest młody chłopak, góral z Białki, potomek jednego z najstarszych rodów zbójników tatrzańskich.

Przed rozpoczęciem pracy inscenizatorskiej konieczne jest pewne teoretyczne przygotowanie. Jest kilka książek, które warto przeczytać od deski do deski. Podaję ich tytuły:

Stanisław Bystroń	—	Polska pieśń ludowa (Kraków 1925)
„ „	—	Studia nad zwyczajami ludowymi
L. Gloger	—	Pieśni dawne (Warszawa 1905)
O. Kolberg	—	Lud (Kraków 1865—1910)
Ł. Gołębiowski	—	Lud polski
W. A. Maciejowski	—	Polska i Ruś do pierwszej połowy XVII w.
W. Łoziński	—	Życie polskie w dawnych wiekach.

Zbiory pieśni polskich zostały opracowane przez Kolberga, Wacława z Oleska i Żegotę Pauli („Pieśni, ludu polskiego z Galicji"). Z małych śpiewników tu, na obczyźnie, duże usługi oddać może, niezmiernie starannie opracowany, „Skarbiec pieśni polskiej", wydany w Glasgow przez Z. Andrzejowskiego i A. Harasowskiego. Śpiewnik Bronisława Rutkowskiego, wydany we Włoszech tp. „Idzie żołnierz", powinien znajdować się w każdej polskiej bibliotece.

Gdy inscenizator widowiska przystępuje do pracy, dobrze wiedzieć musi, jakiego rodzaju wieczornicę ma opracować. O co mu chodzi? Jest, powiedzmy, w najbliższym czasie rocznica uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Planuje się np. obchód Święta Żołnierza 15 sierpnia, czy obchód 11 listopada. Inscenizator chce zerwać z szablonem nudnej, bezdusznej akademii i pokazać świeżą, żywą, bardzo polską wieczornicę. Jak ułożyć program?

Inscenizator wybiera kilka lub kilkanaście piosenek popularnych żołnierskich lub ludowo-żołnierskich. Jak je ułożyć w jedną całość? Porządek chronologiczny jest zawsze czymś, co ułatwia ujęcie całości, zarówno pod względem kostiumowym, jak i każdym innym. Widowisko można skomponować bardzo rozmaicie. Możemy dać kilka pieśni w inscenizacji śpiewno-tanecznej, przepleść je pieśniami w wykonaniu chóru męskiego lub mieszanego oraz dobrze wybranymi fragmentami poetyckimi, o ile dobry recytator jest na miejscu. Można cały program oprzeć tylko na inscenizacji śpiewno-tanecznej z dobrze opracowaną kon-

feransjerką, która by wiązała w jedną całość poszczególne fragmenty.

Weźmy inny przykład. Inscenizator pragnie opracować widowisko, oparte na regionalnych pieśniach polskich. Jak zmontować całość? Możemy zrobić po prostu wędrówkę po ziemiach polskich od Karpat do Bałtyku. Możemy pieśni powiązać z różnymi porami roku, z różnymi wiejskimi obrzędami i pracami, dać jakby Rok Polski w miniaturze. Rozwiązań są dziesiątki. Nie zapomnijmy w żadnym wypadku o konferansjerce, która powinna wprowadzić widza w nastrój widowiska, a potem tłumaczyć i uczyć widzów. Konferansjerkę trzeba starannie opracować; lektor wygłosić ją musi prawie na pamięć. Nie ma nic gorszego, jak konferansjer, zagrzebany po uszy w swoich kartkach, szperający w nich nerwowo, nie odrywający ani na chwilę wzroku od papierów. Tego, co zepsuje konferansjer, nie uratuje żaden inny numer programu.

Kiedy inscenizator ma już wybrany materiał na wieczornicę, pierwszą troską jego jest strona wizualna całości, tak trudna, niestety, do opracowania. Najważniejszą sprawą jest to, by nie wpaść w jakiś drobny, tandetny realizm. Wystarczy jedna dekoracja dla całości — prosta i wymowna. Ciemne kotary i jakiś charakterystyczny fragment. W teatrze im. W. Bogusławskiego dekoracja do „Godów weselnych" operowała jednym motywem, — drzwiami chaty, szeroko rozwartymi na tle ciemnych kotar, z widocznym napisem K—M—B. Jeśli chcemy jakoś oddzielić dekoracyjnie od siebie fragmenty inscenizacyjne, a nie wystarczy nam różnica w kostiumach, wprowadzić możemy jakieś drobne regionalne szczegóły, harmonizujące z całością, jakiś wian dożynkowy z Łowickiego, jakąś krakowską malowaną skrzynię itp. Cały nacisk trzeba położyć na kostiumach. Niech będą, o ile możności, wierne, przynajmniej w proporcjach i kolorycie. Mundury historyczne skopiujmy z albumu Wojska Polskiego, opracowanego przez prof. K. Pacewicza; stroje ludowe z kolorowych plansz Łukaszewiczowej (mówię w tej chwili o najbardziej dostępnych materiałach). Muszą się kostiumy różnić od siebie — wykonawca nie może tańczyć w tym samym kostiumie krakowiaka, kołomyjki i tańców śląskich. Kwiecista spódnica krakowska na pewno pasować nie będzie do polki kaszubskiej.

Jak łatwo wywołać wrażenie tandety artystycznej, jeśli się nie dopilnuje strony kostiumowej i przyjmie za tło jakąś okropną, realistycznie wymalowaną panoramę, podobną do tych, które rozstawiają na jarmarkach przygodni fotografowie!

A teraz trzeba z piosenki zrobić mały scenariusz.

Oto śliczna, rzewna piosenka do słów Franciszka Kowalskiego „Ułan i dziewczyna". Zaczyna się od słów, które każdy zna na pamięć: „Tam na błoniu błyszczy kwiecie..." Piosenka ta jest zwyczajnym dialogiem między ułanem i dziewczyną. Scenariusz więc łatwy do opracowania. Wykonywaliśmy ją zresztą coraz to inaczej, zależnie od tego, jakimi dysponowałam wykonawcami. Raz jedez z kolegą-aktorem odśpiewaliśmy cały tekst w duecie i zakończyliśmy piosenkę tańcem. Innym razem piosenkę nucił chór, a uzdolniona tanecznie para wykonawców pięknie wykonała pantominę, połączoną z żywym, skocznym mazurem. Kiedyś indziej, mając w zespole młodą aktorkę i kilku zdolnych amatorów, rozpracowałam piosenkę w ten sposób, że czterech chłopców śpiewało chóralnie słowa ułana, dziewczyna zaś była jedna. Tak samo opracowaliśmy kiedyś piosenkę z 1831 r. „Jeszcze jeden mazur dzisiaj" — czterech ułanów i jedna dziewczyna. Oczywiście, układając taniec, zważałam na to, by czterech ułanów stanowiło rodzaj chóru, by mieli jednakowe ruchy taneczne i umieszczeni byli symetrycznie na scenie. Rola dziewczyny potraktowana była bardziej indywidualnie.

W teatrze im. W. Bogusławskiego inscenizowano piosenkę „Oj, kot, pani matko, kot, kot!" Schiller rozwiązał ją w ten sposób, że wbiegały cztery panienki z ułanami, cztery pary flirtowały na zabój na scenie i nagle wpadały cztery mamy, pełne podejrzeń, z okularami na nosie i parasolami w ręku. Ułani chowali się szybko za szerokie spódnice dziewcząt. Zaczynało się przekomarzanie panienek z rodzicielkami i zwalanie na mitycznego kotka łoskotu, który przed chwilą panował w pokoju. Gdy pani matka dobrodziejka konkludowała: „córuś moja, dziecię moje, kijem bym cię biła" — dziewczęta uciekały z bardzo niegrzecznymi słowami: „pani matko, dobrodziejko, samaś tak robiła". Zapłonionej, zakrywającej się parasolem mamie stojący obok ułan śpiewał do ucha: „oj, kot, pani matko, kot, kot narobił ci w pokoiku łoskot!"

Piosenkę można rozwiązać, oczywiście, inaczej. Można dać jedną mamę, jedną córunię i jednego ułana. Można dać ułanów dwóch lub trzech. Fragment ukrywania się kilku ułanów przed jedną mamą można rozwiązać niesłychanie zabawnie. Można dodać do piosenki znakomitą pantominę, np. mama zamyka uroczyście parasol i chwyta ułana za ucho, by go do ołtarza pociągnąć. Jeśli ułanów jest kilku, wymykać jej się mogą z wyraźnym przerażeniem i pantomina może się trochę nawet przeciągnąć. Dwie córeczki — jedna mama — i dwóch ułanów (ew. czterech ułanów, po dwóch wzdychających do każdej panienki) — oto inny jeszcze projekt inscenizacji.

Pamiętajmy tylko o tym, by wyszukać oryginalne melodie. Dużą pomocą będzie tu śpiewnik Andrzejowskiego, w którym do każdej melodii dołączona jest krótka wzmianka historyczna. Pamiętajmy — pamiętajmy o kostiumach! Do historycznego munduru ułańskiego dobrać musimy stylową suknię empire (krótki stan, szeroka spódnica, butki, duże wycięcie w kwadrat) lub biedermayer (rękawy poszerzane na kształt trójkąta, poszerzana spódnica). Włosy uczesane w warkocze, lub związane wstążką, Boże zachowaj od nowoczesnej fryzury. Reżyser musi umieć wytłumaczyć swoim wykonawczyniom, że ważniejsze jest utrzymanie stylu od tego, czy im w danej fryzurze do twarzy, czy nie. Z własnego doświadczenia wiem, że to, niestety, idzie, jak po grudzie.

Może teraz omówimy jakiś przykład inscenizacji piosenki ludowej? Znamy wszyscy historię Maćka, który „umarł i leży na desce". Oczywiście, zapominamy o świetnej inscenizacji tanecznej Parnella i szukamy własnego rozwiązania.

A więc z jednej strony szereg chłopców, z drugiej gromadka dziewcząt. Osiem taktów wstępu, tancerze

krokiem wirowym, lub hołubcem, przechodzą na inne miejsca, tworzą półkole parami lub trójkami. „Oj, biedaż nam, bieda, bo nasz Maciek chory", zaczynają piskliwie dziewczęta. „Nie był już w karczmisku ze cztery wieczory", dodają chłopcy. Wszyscy chórem, łącząc śpiew z tańcem (obroty!), wyśpiewują: „oj, któż nam dziś zaśpiewa, oj, któż nam poda piwa — oj, dana moja dana, dana, dana!" —

Co dalej? Możemy scenariusz rozwiązać tak. Bardzo smętna muzyczka i dwóch parobków wnosi przystrojoną ławę z Maćkiem, stawiają ją na środku. Rytmicznie kilku krokami podchodzi chór. Zawodzi płaczliwie:

„Położyli Maćka na sam środek wioski,
zeszli się do niego kmotrzy i kumoszki.

Chłopcy wracają do półkola, przy Maćku zostają dziewczęta lamentujące płaczliwie, łamiąc ręce:

„Oj, był to chłopak grzeczny,
Oj, szkoda, że nie wieczny!
Oj, danaż moja dana, dana, dana!

Przy powtórzeniu refrenu dziewczęta wracają na miejsce i zgodnie lamentuje i „labiedzi" cały chór. Następną zwrotkę rozpoczynają, już nieco spokojniej, stwierdzając jakby fakt dokonany:

„Umarł Maciek, umarł, już leży na desce;
żeby mu zagrali, podskoczyłby jeszcze!"

i zapominając o zmarłym Maćku, ruszają w tan:

„Bo w Mazurze taka dusza,
że jak grają, to się rusza.
Oj danaż moja dana, dana, dana!

Refren powtarzają wolniej. Przy powtórzeniu słowa „rusza" zmarły Maciek podrywa się na ławie. Pauza. Przerażenie. Rytmicznie, ze słowami: „oj danaż moja — dana — dana — dana..." chór cofa się, przykuca, dziewczęta chowają się za chłopców, czekają, co dalej będzie, wysuwając się od czasu do czasu ciekawie naprzód i zaraz cofając się.

Jeszcze raz ta sama melodia. Maciek najpierw porusza jedną nogą, potem drugą, potem rękami, siada (popłoch w chórze!), drapie się w głowę, wreszcie wstaje i kopnięciem odrzuca ławkę. Nasadza z fantazją kapelusz na bakier. Chór podchodzi coraz bliżej, oswojony z myślą, że nieboszczyk ożył. Można zakończyć inscenizację tańcem. Siarczysty oberek, oparty np. na motywie „podkóweczki, dajcie ognia", kończy całość.

Maciek jest solistą w tym tańcu, tańczy w środku koła, wywija hołubca, chwyta dwie dziewczyny do tańca i kręci się z nimi w kółeczko — słowem, szaleje, jakby chciał odrobić godziny, spędzone na nieruchomym leżeniu na twardej ławie.

Jeśli chodzi o kostiumy — najlepiej wypadłyby wełniaki łowickie, lub ich imitacja. Kiedyś, prawie nie dysponując kostiumami, poradziłam tancerzom, by z krakowskiego kostiumu odrzucili kierezyjki i pasy z kołeczkami zamienili na zwyczajne krajki. Kwieciste spódnice kobiet nie raziły po odrzuceniu krakowskich gorsetów. Wrażenie było raczej dodatnie, kostiumy wyglądały zupełnie neutralnie.

Oto przykład prostej, bardzo prostej inscenizacji tanecznej piosenki. Należy dodać, że chór musi być zéspiewany idealnie, że każda grupka, para czy trójka musi mieć własny charakter i wyraz, mimo że i ruchy i obroty są jednakowe dla całego zespołu. Ten indywidualny charakter każdego wykonawcy przy jednolitości ruchów tanecznych, ta „różnorodność w jednolitości" jest czymś trudnym do osiągnięcia. Dlatego tak wyraźnie trzeba powiedzieć każdemu wykonawcy, o co chodzi i kogo ma sobą przedstawiać. A równocześnie trzeba bardzo pilnować, by nie doszło do zbytniego indywidualizowania, przy którym zatarłaby się cała praca zespołowa. Trzeba unikać zawsze zbyt silnego wyrazu, zbyt wielu drobnych ruchów, nadmiaru mimiki. Wtedy robi się to, co pogardliwie określa się mianem „amatorszczyzny". „Lepiej nie dograć, jak przegrać, — pamiętajcie o tym, dzieci", mawiał zawsze do swoich uczniów czarujący, dyskretny aktor, ś.p. Stanisław Stanisławski — i miał po stokroć rację.

A ja dodam: „Dużo hałasu, tupania i gwałtownych ruchów — zabija taniec, dużo drobnych ruchów zabija inscenizację taneczną. Pamiętaj, że istnieje na świecie coś, co określono „tańcem Św. Wita". Niech taniec, przez ciebie ułożony, w żadnym wypadku tego nie przypomina. Wybierz jeden — dwa zasadnicze motywy taneczne: w krakowiaku — hołubiec, krok kulawy i utykany; w mazurze — hołubiec i krok mijany; w oberku — obroty i figurę siarczystą.*) Na nich zbuduj cały taniec, wszystkie ruchy przy inscenizacji tanecznej. A gest niech będzie szeroki, wytrzymany i — na Boga! — rytmiczny! Wykonawców, pozbawionych poczucia rytmu, nie wolno brać do roboty. To jedyny warunek nienaruszalny. Wszystkiego innego reżyser nauczyć może z łatwością".

W każdej pieśni ludowej mamy gotowy zalążek scenariusza dramatycznego. We wszystkich zwyczajach i obyczajach wiejskich kryje się wiele scen teatralnych. Zachwycali się tym pierwsi miłośnicy folkloru polskiego — romantycy, podkreślił to z uznaniem już Zorian Chodakowski. Maciejowski w swoim studium o obrzędach weselnych w Polsce i na Rusi pisze tak: ...„od początku aż do końca wszystko jest dramatyczne, pełne scen i widowisk wspaniałych, jakimi są rozliczne przedstawienia: zdobycie zamku, wykradzenie z niego królewny (panny młodej), upomnienie się o nią rodziców i układy w tej mierze, przez pana młodego czynione, ażeby ją zatrzymać przy sobie... Wciąż nowe otwierają się sceny, życie ludu przedstawiające. Wesołość je cechuje i delikatne uczucie serca, dając wielkie wyobrażenie o wysokim wykształceniu gminu..."

A teraz, na zakończenie, zwracam się z wielką prośbą do moich czytelników. Napiszcie o wszystkich trudnościach, które piętrzyły się przed wami w czasie pracy nad inscenizacją śpiewno-taneczną. Niech do sumy moich doświadczeń przybędą cudze. Za każdą wiadomość będę szczerze wdzięczna, a służę radą i pomocą zawsze. Chciałabym, by słowa tych kilku artykułów nie trafiły w pustkę. Snują mi się zawsze w myśli słowa z „Urody życia": „...kto polski pacierz odmawia i polską pieśń nuci — Polakiem być nie przestanie".

---

*) *Por. „Polskie tańce narodowe," opr. Jan Ostrowski — „Poradnik Świetlicowy", Nry 107—112.*

WIECZORNICE

materiały i pomoce

TEODOZJA LISIEWICZ

„PAZUR NIEDŹWIEDZI"

jednoaktówka w 3 odsłonach

Osoby:

Matka, lat ok. 35,
Leszek, jej syn, lat 14-15,
Pan Stanisław, lokator, wiek średni.

Osoby fikcji:

Nieznajomy,
Zamaskowany I,
Zamaskowany II,
Zamaskowany III.

Osoba, grająca rolę Stanisława, może równocześnie wystąpić w roli Nieznajomego i Zamaskowanego III.

ODSŁONA I.

Pokój umeblowany dowolnie. (Im więcej mebli, które można otwierać, jak np. szafa, komoda, lub zaglądać pod nie — im więcej szufad, które można wyciągać — tym lepiej. Jeśli ustawienie mebli na scenie sprawia trudności, wtenczas należy zawiesić trzy-cztery kotary).

Zasadnicza dekoracja: boczne drzwi wejściowe, na przeciwległej ścianie otwarte okno, pod nim stoi biurko wysokości sięgającej okna, by ręka, wsunięta przez okno do pokoju, mogła wyciągnąć szufadę biurka (lub półeczkę, która zazwyczaj tworzy górną część biurka). Naprzeciw okna stoi fotel pod ścianą, nad nim wisi makata. Obok fotela mały stoliczek.

W chwili podniesienia kurtyny przez okno pada jasne światło słoneczne. MATKA, stojąc na krześle, przybija makatę, która ma wisieć nad fotelem. Wchodzi LESZEK trzymając plik pism ilustrowanych.

Matka (*zwracając się ku niemu na chwilę*) Leszku, tyle razy mówiłam: uważaj jak siadasz na tym fotelu. Nie przysuwaj go do ściany, bo kilim się obrywa. Patrz, znów zerwany.

Leszek (*bezmyślnie*): Aha... (*zajęty jest w tej chwili pismami, które jakby chciał ukryć przed matką*).

Matka (*przybijając gwóźdź*): Nie „acha", tylko wstając musiałeś nie uważać i znów kilim oberwałeś. Teraz trzeba przybijać, choć niedziela — aż wstyd.

Leszek: (*który pisma już umieścił na jakimś meblu*) Niech mama pozwoli, ja przybiję.

Matka: Już dziękuję, wolę sama. Zresztą i tak nie ma do czego. Te ściany, jak gąbka... Każdy gwóźdź wchodzi, ale zaraz wypada.

Leszek: Dlatego kilim zlatuje... za ciężki. To nie wina fotela, tylko ściany.

Matka: Więc mówię: trzeba uważać i fotela nie przysuwać... (*skończyła przybijać, schodzi z krzesła, przygląda się kilimowi. Odstawia krzesło, ostrożnie przysuwa fotel do ściany. Jeszcze raz patrzy*) No, już... (*kieruje się w stronę drzwi. Ogląda się na Leszka*) Idziesz na spacer?

Leszek: Cóż... dziś niedziela... chciałem trochę poczytać...

Matka: Słońce świeci, aż miło. Gdzie będziesz? tutaj, czy w ogrodzie? (*mówiąc to, kieruje się w stronę okna*).

Leszek: Wolę tutaj zostać.

Matka (*zatrzymuje się*) Bo gdybyś wychodził z pokoju, zamknij okno na wszelki wypadek. Tutaj, od strony pola pusto, wystarczy tylko rękę wsunąć do środka, żeby coś zwędzić.

Leszek (*żywo*) Bandyta, mama myśli?

Matka: Żaden bandyta, tylko zwykły złodziej.

Leszek: No, to mama może na mnie polegać.

Matka: Na razie wolałabym, żebyś uważał, jak stawiasz fotel i — proszę cię! Jeżeli zostajesz tutaj, to zachowuj się cicho. Pan Stanisław ma dziś wolne i chce wypocząć. Prosił nawet, żeby mu nie przeszkadzać.

Leszek: Będę siedział cichutko, może być mama pewna... Ale ostatecznie dziś niedziela, więc... (*robi grymas, jakby niezadowolony*).

Matka: Rozumiem dobrze, ale i ty, synku, zrozum, że zależy mi na dobrym lokatorze. Zresztą pan Stanisław ciężko pracuje, na nocnej zmianie, co trzeba uszanować... (*w tej chwili za oknem pieje kogut*) Że też ten kogut zawsze pcha się pod nasze okna! Jak na złość, jeszcze go obudzi!

(*Leszek nagle zrywa się, podbiega do okna, wychyla się raptownie. Matka patrzy na niego zdziwiona*).

Co ty robisz?

Leszek (*po chwili — ściszonym głosem*) Nic, chciałem się tylko przekonać, czy to istotnie kogut.

Matka (*b. zdziwiona*) Co ci się stało? już wróbla od koguta nie odróżniasz?

Leszek (*tajemniczo*): Nie, tylko mama mówiła o tych złodziejach... Łatwo któryś może się podsunąć pod okno i dla zmylenia udawać pianie koguta.

Matka: Znów zaczynasz? Już dłuższy czas był spokój z twoimi detektywistycznymi sztuczkami. Od czasu, jak stłukłeś szybę u pp. Smithów, przestałeś się bawić w detektywa. Teraz, jak widzę, zaczynasz...?

Leszek: Mamo, na roztropności i rozwadze nikt jeszcze nie stracił.

Matka: Bardzo to mądrze powiedziane, ale na razie niech twoja rozwaga ogranicza się do nieściągania kilima ze ściany, a roztropność niech ci nakazuje ciszę i spokój, żeby nie budzić pana Stanisława.

Leszek: Eee, nudny jest ten lokator.

Matka: Tobie wydaje się nudny, a ja go podziwiam i mam duży szacunek dla niego. Niemłody już, poszedł na najcięższą pracę do fabryki, a ma przecież za sobą obóz niemiecki, no — a przedtem służbę w A.K.

Leszek: Tego właśnie nie rozumiem, jak on mógł być w A.K.? Przecież on prawie nigdy nic nie mówi, a jak nareszcie powie, to nudno. Do tego wygląd jak... jak... mydło do prania.

Matka (*z wyrzutem*) Leszku!

Leszek (*jakby tłumacząc*): Naprawdę mamo... Taki jakiś bez koloru, ni be, ni me... Próbowałem go nieraz wyciągnąć na opowiadanie, jak to ja potrafię, a on... Nic. Dla mnie to ani żołnierz, ani konspirator... Znam przecież dużo Akowców, to mówię mamie, jak zaczną czasem w świetlicy mówić, to nasłuchać się nie można i wciąż coś nowego ma każdy do opowiadania. A nasz lokator... (*macha ręką z lekceważeniem*).

Matka: Może być, że inni dużo mówią, za to ten bardzo solidnie płaci za mieszkanie. (*po chwili*) Więc zostajesz tutaj... Ja idę trochę przed dom do ogródka... Jak będziesz chciał herbatę, to mi powiedz — tylko nie wołaj! Przyjdź i powiedz.

Leszek: Dobrze, mamo.

(*Matka kieruje się w stronę drzwi, Leszek stara się zasłonić sobą pisma, koło których Matka przechodzi. Matka spostrzega jego manewr i zagląda za plecy Leszka*)

Matka: A to co takiego?

Leszek: To... to... nic... kolega pożyczył mi...

Matka (*zainteresowana*): Co to jest? Pokażno... (*Leszek zmieszany odsłania pisma, Matka bierze do ręki, zaczyna przeglądać*) ...„Tajemnica Czarnej Maski". „Krwawy Jack" ...„Lord Lister, czyli włamywacz w monoklu" ...„Czarna ręka Lady Margaret"... (*patrzy surowo na Leszka*) Leszku, co to jest?

Leszek (*coraz bardziej zmieszany*) To, to nic... to kolega pożyczył mi, żebym tylko przeglądnął... Zaraz mu oddam.

Matka (*patrzy na niego poważnie*) Leszku... Tyle razy mówiłam: żadnej sensacyjnej lichoty. I ty mi obiecałeś, tymczasem...

Leszek: Tak, ale dziś jest niedziela, na codzień dotrzymuję obietnicy, mamo. Naprawdę, ale w niedzielę po południu...

Matka: Czy w niedzielę, czy dzień powszechny, obietnica jednakowo obowiązuje. Nie spodziewałam się, że tak łatwo łamiesz słowo.

Leszek: (*urażony*): Mama tak nie może mówić! Nawet cała klasa wie, że na moim słowie można polegać jak na słowie rycerza.

Matka: Słyszałam, tysiąc razy słyszałam... ale jeżeli rycerze tak dotrzymywali słowa, jak ty w tej chwili, to...

Leszek: To zupełnie co innego. Zresztą mama mówiła o książkach, a to nie jest książka, tylko tygodnik.

Matka: Nie odwracaj kota do góry ogonem. Wszystko jedno, co to jest — konfiskuję. (*chce zabrać pisma*).

Leszek (*biorąc Matkę delikatnie za ręce*) Mamo...

Matka (*trochę bezradnie*): Leszku drogi, tak nie można. Przede wszystkim obiecałeś, a po drugie nie życzę sobie takiej lektury dla ciebie. Będziesz dorosły, możesz czytać co ci się podoba, ale jak długo ja tobą kieruję, to...

Leszek (*prosząco*): Mamo, kiedy to takie ciekawe...

Matka: Nie ciekawe, tylko niezdrowe. Za młody jesteś, żeby zrozumieć, że takie powieścidła spaczają pojęcia, rozbudzają chorobliwą fantazję, odciągają umysł od tego, co piękne, co na prawdę ciekawe, zacierają granicę pomiędzy dobrem a złem.

Leszek: Nigdy, mamusiu! Właśnie to jest bohaterskie, takie wspaniałe, pobudza do czynu...

Matka (*wtrąca*):... przeszkadza w nauce...

Leszek: (*nie zważając*): ...uczy zaradności, ostrożności z ludźmi. Po przeczytaniu takiej jednej historii człowiek zawsze i wszędzie będzie wiedział, jak sobie dać radę.

Matka (*ubawiona*): No, no, no!

Leszek: I to nie w byle jakiej sytuacji! Przy tym uczy odwagi aż do szaleństwa i roztropności nieledwie do przesady, co jest zasadnicze.

Matka (*j.w.*): Ale nie nauczyło cię ostrożnie siadać na fotelu.

Leszek (*z grymasem*): Eee, kiedy mama żartuje.

Matka: Trudno, żebym płakała, jak słucham tego, co pleciesz. Może zacznę płakać, jak przeczytam „Czarną rękę Lady Margaret" (*znów wykonuje ruch, jakby zabierała pisma*). Miałam czytać gazetę, będę czytała Czarną Rękę...

Leszek (*z przestrachem*): Więc mama to zabiera? Mamo! Mamusiu... niech mama to zostawi... (*patrzy na Matkę błagającymi oczami*).

Matka (*niepewnie*): Kiedy Leszku...

Leszek (*jakby zabierając pisma z rąk Matki*): Naprawdę... ostatni raz, mamusiu... naprawdę ostatni. Tylko niech mi mama pozwoli jeszcze dzisiaj... Tak się cieszyłem na to popołudnie... tak chciałem sobie poczytać, a mama psuje mi całą zabawę. Mamusiu...

Matka (*coraz niepewniej*): Leszku... gdybyś był przyszedł do mnie i powiedział, to może bym...

Leszek (*śmielej*): Tak, ale mama przecież mówiła, że nie pozwala na powieści. O pismach mama nic nie mówiła... To jest tylko pisemko... Mamo... tylko raz jeden...

Matka: Pozwolę, a ty potem będziesz czytał do późnej nocy.

Leszek (*żywo*): Nie, mamo, tylko przeglądnę i zaraz oddam.

Matka: Po podwieczorku?

Leszek: Po podwieczorku.

Matka (*po chwili*): No... to — masz! (*oddaje mu pisma*).

Leszek (*rzuca się Matce na szyję*): Dziękuję!

Matka: Tylko cicho, nie krzycz... (*wskazuje na sąsiedni pokój*) Za słaba dla ciebie jestem, synku... To siedź tu, a ja idę do ogrodu... (*rozgląda się jeszcze po pokoju*) Nie lubię, jak to okno otwarte... ktoś może nadejść, ty zaczytasz się i nawet nie zauważysz.

Leszek (*który już ułożył pisma na stoliku koło fotela*): Nie, mamo, będę uważał. Już tam nie życzę żadnemu złodziejowi spotkania ze mną.

Matka (*na śmiechu*): Taki pewny jesteś? (*kieruje się w stronę drzwi*).

Leszek (*nagle innym tonem*): Mamo, a czy... (*Matka zatrzymuje się na progu*)... czy mogę prosić o trochę konfitur?

Matka (*b. wesoło*): Ach, ty bohaterze! (*podchodzi do szafki lub półki, wyjmuje słoik, podaje Leszkowi*) Masz tu pół słoika, tylko nie usmaruj fotela i nie powalaj sobie ubrania.

Leszek (*biorąc słoik*): Malinowe?

Matka: Wiśniowe.

Leszek: Jeszcze lepiej... (*sadowi się na fotelu bardzo ostrożnie, wciąż oglądając się na kilim*).

Matka (*gdy usiadł*): W porządku... (*od progu odwraca się i mówi lekko*) Tylko na przyszłość pamiętaj, że bohaterowie, o jakich marzysz, konfitur ze słoików nie wyjadają. Piją tylko kwaśne wino, zagryzają twardym jak kamień serem i jadają udźce baranie pieczone na rożnie.

Leszek (*zaskoczony*): Tak jest! Skąd mama wie o tym?

Matka: Mój drogi, przepisy na takich bohaterów można znaleźć w każdej książce awanturniczej. Tylko w życiu to inaczej wygląda... A teraz... (*kładzie palec na usta*) ciiicho... (*wychodzi*).

(*Leszek zagłębia się w czytaniu, wyjadając równocześnie łyżeczką konfitury ze słoika. Za oknem pieje kogut. Kurtyna spada*).

ODSŁONA II

W ciągu jednej minuty kurtyna się podnosi. Scena ta sama. Światło zmienione. W pokoju i za oknem światło jest niebieskawe. Leszek z groźną miną stoi po środku pokoju, w ręce trzyma cienki sztylet, którego ostrze próbuje palcem. Słychać trzykrotne stukanie do drzwi. Leszek szybko chowa sztylet za bluzkę, prawą rękę trzyma jednak na rękojeści, jakby w pogotowiu. Bystro spogląda na drzwi. Rozlega się ponownie trzykrotne pukanie.

Leszek: Kto tam?

Głos: Trucizna.

Leszek: Wejść!

(*Wchodzi człowiek ubrany według uznania reżysera — najlepiej, by owinięty był w ciemną płachtę. Dolna część twarzy zasłonięta szalikiem*)

Nieznajomy (*ponurym głosem*): Młodzieńcze, czy ty jesteś Leszkiem Góralskim?

Leszek (*groźnie*): Istotnie na imię mi Leszek, ale nie nazywam się Góralski. Hasło?

Nieznaj.: Biała Czaszka. Odzew?

Leszek: Krwawy Nos.

Nieznaj. (*z westchnieniem ulgi*): Zatem jesteś Leszkiem Góralskim, którego szukam. (*odsłania twarz*)

Leszek: Teraz mogę mówić, skoro wiem, że przyjaciela mam przed sobą. Tak, jestem Leszkiem Góralskim.

Nieznaj.: Którego zwą Pazur Niedźwiedzi?

Leszek (*bardzo groźnie*): Hasło?

Nieznaj.: Żelazna Stopa. Odzew?

Leszek: Kamienne Serce... Tak, zwą mnie Pazur Niedźwiedzi.

Nieznaj. (*znów odetchnął z ulgą*): Zatem jestem u celu. Długo cię szukałem, młody panie, ale trud mój nie poszedł na marne. Mimo młodego wieku, ostrożności nie brak ci, jak widzę.

Leszek: Życie nauczyło. Czego żądasz?

Nieznaj. (*nagle mówi nerwowo, tajemniczo*): Przywiozłem plany.

Leszek (*kładąc rękę na piersi*): Na Boga!

Nieznaj. (*j.w.*): Tak, czasu mało, każda chwila ma wartość krwi... Śledzą mnie... Plany należy ukryć... Polecono mi je oddać tobie, panie.

Leszek (*z lekkim uśmiechem ironii*): Spodziewałem się tego.

Nieznaj.: Zatem — wiesz!

Leszek (*nagle spokojnie*): O czym wiedzieć ma być mi wiadomo? Hasło?

Nieznaj.: Nóż... Odzew?

Leszek: Podkowa.

Nieznaj. (*ocierając czoło*): Mogęż mówić zatem spokojnie... Prędko! Spiesz się ,młody panie... (*wydobywa z zanadrza zwój pergaminów*) Oto są znaki rozpoznawcze... a tu, tu... plan podkopu do zamku.

Leszek (*spokojnie*): Którego?

Nieznaj. (*z radością*); O, jak widzę, wiedział książę komu tajemnicę swoją powierzyć! Lice twoje panie, młodością pałają, ale rozum męża dojrzałego by zawstydził... To są plany starego zamku.

Leszek: Który jest w rękach spiskowców?

Nieznaj.: Który niestety jest w rękach spiskowców.

Leszek: A nowy zamek?

Nieznaj.: Opanowany przez księcia i jego ludzi. Teraz czekają tylko chwili, by zacząć podkop... tymczasem spiskowcy natrafili na ślad planu...

Leszek: Tam do licha!

Nieznaj.: Wtedy książę powiedział do mnie: sługo wierny, bierz oto mego wierzchowca i co koń wyskoczy gnaj na przełaj do Leszka, zwanego Pazurem Niedźwiedzim. Nie czekając wiele, ruszyłem z kopyta. Noc ciemna, błyskawice...

Leszek: Zaprzestaj czczej gadaniny, tylko mów!

Nieznaj.: Grzmoty... skały waliły się jedna za drugą, a za mną gnało dziesięciu w maskach...

Leszek: Nie marudź!

Nieznaj.: Wybacz, młody panie... Więc powiem krótko: książe kazał plany ukryć u ciebie.

Leszek (*z przekonaniem*): I nie zawiedzie się na swym wyborze. Dobrze je schowam.

Nieznaj.: Ale gdzie? Na mój ślad natrafili... wszędzie mogą wytropić...

Leszek (*pewny siebie*): Nie u mnie. Mam ja schowek, którego bym nikomu nie zwierzył, ale skoro książe darzy cię takim zaufaniem, to patrz!

(*Podchodzi do biurka pod oknem, wyciąga szufladę, chowa tam pergaminy*).

Nieznaj. (*zaskoczony*): Jakie to proste!

Leszek (*chełpliwie*): I nikt na to nie wpadnie! Będą ściany łupali, wyrywali płyty posadzki i bierwiona powały, ale tutaj, do tej prostej szuflady nikt nie zaglądnie. Ponieważ, mimo wszystko, ostrożności mi nie brak, zatem — do roboty! Trzeba przeszukać izbę, czy nikt się w niej nie ukrył. Ja tu — a ty, przyjacielu — tam! (*wskazuje mu drugi kąt pokoju*).

(*Obaj rzucają się na ziemię, zaglądają pod meble lub za kotary, wysuwają szuflady i tp.*

W międzyczasie, w oknie ukazuje się ramię w obcisłym czarnym rękawie, ręka wsuwa się do pokoju, dosięga biurka i niespostrzeżenie wyjmuje z szuflady pergaminy — po czym znika).

Leszek (*podnosząc się*): Nikogo.

Nieznaj. (*podnosząc się*): Nikogo. Teraz mogę spokojnie do mego pana wrócić i powiedzieć, że oto wielka tajemnica zostanie zachowana, jak kubek cynowy, gdy na dno studni upadnie.

Leszek: Jak sztylet zatruty z ofiarą razem pogrzebiony.

Nieznaj.: Jak piórko ptasie w gniazdku złożone...

Leszek (*z niesmakiem*): Niewieście to zaklęcie, niegodne silnego męża, ale ci darowuję...

Nieznaj. (*nagle sobie coś przypominając*): Tylko jedno, młody panie! Na pierwszej pieczęci jest znak...

Leszek (*bystro*): Dwie są pieczęcie.

Nieznaj.: Zatem na większej.

Leszek (*j.w.*): Obie są jednakie, ale dla pewności rzucę jeszcze okiem...

(*Podchodzi do biurka, wyciąga szufladę, zaczyna w niej szukać nerwowo*).

O, nieba wielkie! Pusta!

Nieznaj. (*podbiega ku niemu*): Panie, co mówisz?!!

Leszek (*zakrywa sobie oczy ręką*): Pusta! Plany zniknęły! O, ja nieszczęsny! Krwią własną hańby takiej nie zmyję, ale też jedynie krew moja może honor mój uratować!

(*Wyciąga z zanadrza sztylet — zwraca się do Nieznajomego*)

Żegnaj, przyjacielu! (*kieruje sztylet w własną pierś*).

Nieznaj. (*łapiąc go za rękę*): Stój! Jeszcze nie czas! Wpierw szukajmy, młody panie! Zanim pierś twoją przeszyje żądło sztyletu, może plany się znajdą, może się gdzieś zarzuciły, może podmuch wichru rozwiał je po izbie... Szukajmy!

Leszek: O, życie mi wracasz! Szukajmy!

(*Znów rzucają się na podłogę zaglądając pod meble, w meblach, szufladach i tp.*

Przez okno wsuwa się ręka, wrzuca papiery do szuflady. Leszek odwraca się, spostrzega rękę w chwili, gdy ta usiłuje zasunąć szufladę).

Leszek (*szeptem, wskazując rękę*): Psst!

(*Przypada do muru i tak podsuwa się w kierunku okna. Nieznajomy w ten sam sposób podsuwa się z drugiej strony. Leszek nagle chwyta rękę, gryzie ją. Słychać za oknem głos koguta. Ręka znika*).

Nieznaj. (*wychylając się przez okno*): Uciekł nam!

Leszek (*z wielką pewnością siebie*): Ale go złapiemy. Został przeze mnie naznaczony!

Nieznaj.: I po głosie będzie go można poznać!

Leszek (*j.w.*): Głos nieważny. Jest znak na ręce. Nie darmo zwą mnie Pazur Niedzwiedzi. W kim kły swoje zatopię, temu, jak po niedźwiedziej łapie, zostaje blizna na całe życie.

Nieznaj.: O, zdrajcy, pod oknem podsłuchiwali. . .

Leszek (*kiwa głową*): Tego nikt nie mógł przewidzieć, nawet ja. . .

Nieznaj. (*z nagłą radością, wskazując na szufladę*): Jednak patrz, panie! Plany!

Leszek (*chwyta za pergaminy, ogląda, mówi z rozpaczą*): Pieczęcie złamane! Tajemnica odkryta! O, nieszczęsny!

Nieznaj. (*drżącym głosem*): Co robić?

Leszek (*po chwili zastanowienia — śmieje się szatańsko*): Co robić? ha, ha, ha! I na to znajdzie się rada. Przyjacielu — siadaj na koń i bieżaj do księcia. Niech natychmiast zmieni plany podkopu. Tamte były od zachodniej ściany, niech teraz robią od wschodniej!

Nieznaj. (*składając ręce*): Zbawco!

Leszek: Nie ma chwili do stracenia. Spiesz się! Zdrożony jesteś i bez wieczerzy, ale wytrzymasz!

Nieznaj. (*owijając twarz szalikiem*): Wytrzymam. Mam przy sobie bukłak z winem i kawał sera. Zagryzę.

Leszek (*uroczyście*): A więc — w drogę!

Nieznaj. (*składając głęboki ukłon*): Cześć ci, młody panie!

(*Wybiega. Leszek zostaje sam. W tej chwili wpada jeden lub dwóch Zamaskowanych. Chwytają Leszka, wykręcają mu ręce do tyłu. Zamaskowany I przykłada mu sztylet do gardła*).

Zamask. II: Dokąd pojechał ten psi sługa?

(*Leszek milczy*)

Mów, jeśli ci życie miłe!

Leszek: Nie dbam o życie, jak nie dbam o was, sługi szakala!

Zamask. II (*do Zamask. I — gdy tego nie ma, kwestia zostaje opuszczona*): Hej, ten młody lis obelgami miota, trzymaj go mocniej! (*do Leszka*) Mów w tej chwili, dokąd tamten uszedł?. . . Nie. . .? (*Leszek milczy*). Ha! twarda sztuka. . . Zatem nie powiesz?

Leszek: Nie, bo ja danego raz słowa nigdy nie łamię.

Zamask. II: Jeśli tak, to zapłacisz życiem!

(*W oknie ukazuje się Zamaskowany III*).

Zamask. III: Stać! Żywcem brać, żywcem! To Pazur Niedźwiedzi! Poznaję! Sakiewka złota za niego!

(*Rzuca przez okno słoik z konfiturami, który rozbija się na środku sceny*).

Leszek: Nie dostaniecie mnie żywego, ani martwego! (*zaczyna się wyrywać, gryzie ich po rękach*).

Zamask. II: Tak, to Pazur Niedźwiedzi! Gryzie!

Zamask III: Nic to! żywego dostarczyć! Omotać go opończą! Macie! (*rzuca przez okno koc, który jeden z Zamaskowanych chwyta i zarzuca Leszkowi na głowę*).

Leszek (*broniąc się — woła nagle swoim zwykłym głosem*): Mamo! Mamo! Na pomoc!

Kurtyna spada.

ODSŁONA III

Po jednej minucie kurtyna podnosi się.

Światło w pokoju, jak w Odsłonie Pierwszej. Wszystko jest tak samo, tylko na środku leży rozbity słoik. Zbyszek siedzi na fotelu mocno przysuniętym do ściany i szamocze się z makatą, która mu spadła na głowę. Woła: „Nie dostaniecie mnie. . . A psy podłe. . .”

(*Wbiega przerażona Matka*).

Matka: Leszku, na miłość Boską, co się stało?

(*Podbiega do niego, stara się ściągnąć mu makatę z głowy*).

Leszek (*woła*): Nie weźmiecie mnie żywego, ni umarłego!

Matka (*przestraszona*): Leszku! Leszku!

(*Nie może ściągnąć z niego makaty, gdyż Leszek wciąż się szamocze*).

Leszek: Ha, szakale! nawet trup mój z rąk waszych się wymknie!

(*Wbiega pan Stanisław. Człowiek w średnim wieku. Ubrany jest w szlafrok. W ręce trzyma otwartą, niewielką książeczkę*).

Stanisław: Co się stało? (*spostrzega Leszka*). Co chłopcu jest?

Matka (*z rozpaczą*): Nie wiem. . . Drogi panie, niech mi pan pomoże!

(*Z pomocą Stanisława zdejmuje makatę z głowy Leszka. Chłopiec stoi przez chwilę jakby osłupiały, patrzy to na Matkę, to na Stanisława, nagle biegnie do biurka, wyciąga szufladę*).

Leszek: Plany! Plany podkopu!

Matka (*z coraz większym przerażeniem*): Dziecko drogie. . . (*do Stanisława, jakby szukając rady*) Panie Stanisławie. . . !

(*Stanisław tymczasem patrzy na pisma, rozrzucone na podłodze i leżące na małym stoliku*).

Leszek (*jakby dopiero teraz się obudził — rozgląda się*): A gdzież oni się podzieli?

Matka: Kto?

Leszek: Trzech ich było. . . zamaskowani. . .

(*Stanisław, słysząc to, uśmiecha się, podnosi jedno pismo i podchodzi z nim do Leszka*).

Matka (*do Leszka*): Jacy zamaskowani? Co ty mówisz, Leszku?

Leszek: Spiskowcy!

Stanisław (*spokojnie wskazuje na okładkę pisma*): Tutaj są... Proszę... Trzech zamaskowanych, a czwarty znika na koniu. Czy to ci sami, panie Leszku?

Leszek (*bierze z rąk jego pismo, patrzy zdziwiony — trochę zmieszany*): Ależ zupełnie podobni, jakby ci sami...

Stanisław: Bo też to są ci sami.

Leszek (*coraz niepewniej*): Przecież widziałem, proszę pana, a jeden rzucił nawet sakiewkę złota... o tu... (*pokazuje na słoik leżący na podłodze*).

Stanisław: Na razie tu leży tylko zbity słoik z konfiturami, który rzucił pan widocznie w ferworze walki.

Matka (*załamuje ręce*): Słowo daję! Kilim na ziemi, słoik rozbity! (*schyla się, zaczyna zbierać szkło*). I to w dodatku wiśnie! Leszku, coś ty zrobił?

(*Leszek zaczyna jej pomagać, zbierając szkło, Stanisław znów ogląda pisma, wciąż uśmiechając się do siebie*).

Leszek: Ja... naprawdę... nie rozumiem, mamusiu... Z pewnością...

Stanisław: A może ja wytłumaczę? (*oboje zwracają się ku niemu. Stanisław, pokazując na pisma*). Po prostu czytając te arcyciekawe opowieści i jedząc znacznie lepsze od nich konfitury, zdrzemnął się pan i zapewne przyśniło się panu, że ci oto (*pokazuje okładkę*) zamaskowani wtargnęli do pokoju i chcieli pana porwać, czy zasztyletować. Inaczej nie wzywałby pan pomocy. Czy nie tak?

Leszek: To... to... pan myśli... że to był sen?

Stanisław: Nietyle sen, ile niezdrowa fantazja.

Matka: A nie mówiłam? nie zabraniałam? Drogi panie, duszę można wygadać, a Leszek matce nie chce wierzyć, tylko wciąż jakieś piśmidła do domu przynosi i tym się delektuje. Ach, Leszku, Leszku... W dodatku pana obudziłeś...! Naprawdę, mam żal do ciebie... I to wszystko przez takie bzdury! (*wskazuje ze złością na pisma*).

Leszek: Mamo, mnie jest bardzo przykro, że tak się stało, ale... to opowiadanie było takie ciekawe...

Stanisław (*z uśmiechem*): Bohaterskie, wspaniałe, krew w żyłach mrożące... chciał pan powiedzieć...?

Leszek (*zaskoczony*): Pan to zna?

Stanisław: I wiele innych. Ale niech mi pan wierzy...

Matka (*przerywa*): Drogi panie Stanisławie, dlaczego pan mówi do Leszka „pan"?

Leszek: Tak, proszę pana, ja także proszę, żeby pan mnie tak nie nazywał.

Stanisław: No — to będę mówił po prostu: Leszku. Proszę mi wybaczyć... Teraz, Leszku, powiem ci, że czytywałem te opowieści, ale dość szybko się przekonałem, jak są bez wartości. Widzisz, książka powinna chwycić za serce i zaciekawić myśl, a nie nerwy. Jeżeli zaciekawia tylko nerwy, to już cel jest chybiony, a książka szkodliwa. To nie jest literatura, która uczy piękna, buduje, rozszerza horyzont, to już jest literatura, która działa jak narkotyk. Niszczy organizm myślowy, nic nie przynosi prócz chwilowego błysku zaciekawienia — jak narkotyk nic nie przynosi prócz chwilowego uczucia ulgi. Gdy przestaje działać — człowiek czuje się jeszcze gorzej. Dość prędko przerzuciłem się na książki, które w pełni można nazwać książkami. Te dały mi dużo spokoju i dużo tematów do zastanowienia—nie tylko do lubowania się we własnym, domniemanym bohaterstwie.

Leszek: Przepraszam pana, ale właśnie bohaterstwo jest najładniejszym tematem każdej powieści, bo bohaterstwo jest czymś bardzo wielkim...

Stanisław: Niestety, o prawdziwym bohaterstwie rzadko się kiedy dowiadujemy. Jeśli ktoś naprawdę dokonał czynu bohaterskiego, to nie będzie o nim krzyczał. Będzie milczał — dlatego niewszystkie czyny bohaterskie opisywane są prawdziwe, nawet możliwe. Bohaterstwo jest czymś wielkim i ponad zwykłą miarę ludzką... Dlatego mówić o nim na głos nie można. Piękno nie lubi rozgłosu. Prawdziwe piękno można ujrzeć, można odczuć, ale nie wolno go reklamować, bo przestaje być sobą.

Leszek: Jednak podziwia pan bohaterstwo—więc dlaczego przestał pan czytać książki o wielkich przygodach?

Stanisław: Czytam Sienkiewicza. Te książki, które znosisz do domu, z prawdziwym bohaterstwem nie mają nic wspólnego; uczą jedynie fałszywego myślenia i nieopanowania.

(*Matka potakuje*)

Leszek (*zdziwiony*): Nieopanowania? A któż miał bardziej stalowe nerwy, jak nie Pazur Niedźwiedzi? chyba pan tego nie zna...

Stanisław: Może znam, może nie znam, bo takich Pazurów setki ukazuje się w tego rodzaju wydawnictwach. Nie, taka książka nie nauczy opanowania, jasnego myślenia, spokoju. Tego uczą inne książki... na przykład jedna... Dzięki niej mogłem w momencie mego aresztowania niepostrzeżenie zniszczyć pewne dokumenty i z całym spokojem wytrzymać śledztwo.

Leszek (*z zaciekawieniem*): Nigdy mi pan o tym nie mówił!

Stanisław: A po co? To nie jest temat, o którym mówiłoby się gładko, dla rozrywki.

Leszek (*z większą jeszcze ciekawością*): A co to za książka? Ma ją pan u siebie?

Stanisław: Owszem... Nawet dziś po południu przeglądałem sobie.

Leszek (*ciekawie, ale nieśmiało dotyka książki, którą Stanisław trzyma w ręce*): To ta?

Stanisław (*na uśmiechu*): Ta sama... (*przegląda kartki*). O, ten ustęp właśnie czytałem.

(*Leszek stara się zaglądnąć przez ramię Stanisława. Stanisław zaczyna cicho czytać*)

...Wśród takich pól, przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki. Z drzewa — lecz podmurowany —
Świeciły się z daleka pobielane ściany,
Tym bielsze, że odbite od ciemnej zieleni,
Topoli, co go bronią od wichrów jesieni...

(w miarę czytania kurtyna wolno opada)

K o n i e c.

WIADOMOŚCI

z życia świetlic — przegląd wydawnictw — różne

WIKTOR KWAST

MAJSTROWANIE

PRZYGOTOWANIE ROWERU DO WIOSENNEGO SEZONU WYCIECZEK

Już ciepło. Dzień się wydłużył o całe godziny. Wody po roztopach niebyłych śniegów już dawno opadły, zawsze bezbłotne drogi asfaltowe całkowicie podeschły, już nawet i słońce pokazuje się od czasu do czasu...

Jednym słowem, wiosna!

Czas ze stwierdzenia tego faktu wyciągnąć właściwy wniosek, czas siąść na rower i wyrwać się w zieloną przestrzeń spomiędzy zatęchłych murów wielkomiejskich, zasmakować w beztrosce ptaków, co ani sieją, ani orzą, zapomnieć, choć na parę godzin, o kłopotach i zgryzotach dnia codziennego. Przecie tylko raz do roku kwitną krokusy i narcyzy, tylko raz w roku można myszkować w rowach przydrożnych za pierwiosnkami i fiołkami, raz tylko się widzi białe morza sadów Evesham i Pershore koło Worcester albo Kentu, ogrodu owocowego Londynu. W okresie wiosennego kwitnięcia zielona wyspa zamienia się w różnobarwny bukiet. Widok to niezapomniany dla tych, co go widzieli.

A więc na rower i w pola!

Pisał już kiedyś „Poradnik" (Nr 98/99) w „Wycieczkach rowerowych", czym jest rower i jakie są jego możliwości. Teraz zaś, namawiając na oglądanie Anglii w kwiatach, nie chciałby namawiać nikogo do lekkomyślnej wyprawy na nieprzygotowanym i niesprawdzonym rowerze. Pragnie więc podsunąć parę wskazówek, jak się zabrać należy do zrudziałego od zimowej poniewierki roweru, żeby go przywrócić do stanu pełnej sprawności i zabezpieczyć się przed nieprzyjemną możliwością powrotu... z maszyną na plecach.

Kilka godzin, spędzonych na starannym przejrzeniu, naprawieniu i oczyszczeniu roweru, sowicie się opłaci. Nietylko bowiem jest ważne, aby rower w ogóle chodził, — to każdy rower, zasługujący na tę nazwę, potrafi, — ale jeszcze ważniejsze, aby chodził lekko i dobrze i nie marnował energii swego posiadacza na piłowanie kołem o widełki, na grzanie osi czy też na walkę z zardzewiałym i skrzypiącym łańcuchem.

Powinno być zasadą każdego kolarza, żeby czy trzeba, czy nie trzeba, raz do roku rozebrał swą maszynę na kawałki i zbada łwszystkie jej części pracujące, wszystkie miejsca trące, w zwykłych warunkach niedostępne dla oka. Umożliwi mu to dostrzeżenie wielu niedokładności i oznak przedwczesnego i nieprawidłowego zużywania się poszczególnych części. Da sposobność zaradzenia złu zawczasu małymi środkami i oszczędzi znacznie większych kłopotów, niemiłych niespodzianek i kosztów.

Najlepszym czasem na taki przegląd generalny jest właśnie początek wiosny, kiedy wszystko się odradza, odmładza, pięknieje. Wybrawszy więc odpowiedni czas na parogodzinną robotę, obszerne miejsce na zaimprowizowany warsztat, zgromadziwszy narzędzia z dodatkiem kilku klocków drzewa, kilku czystych szmat, wazeliny, nafty i oliwy, — należy się zabrać przede wszystkim do rozebrania roweru.

Rozebranie roweru

Odczepiwszy torbę oraz latarki, należy postawić rower do góry kołami, podłożywszy pod kierownik jeden gałgan, a pod siodełko drugi, dla zabezpieczenia przed zabrudzeniem i podrapaniem. Robotę zacząć od odkręcenia nakrętek na osiach i zdjęcia obu kół, w potem rozczepienia i odjęcia łańcucha.

W wypadku roweru z hamulcami, podciąganymi do góry przy pomocy systemu dźwigniowego, należy najpierw zluzować prowadnice hamulcowe, zamocowane na widełkach. Zwolnione wówczas, podkowiastego kształtu sprężyny z klockami ciernymi rozluźnią uchwyt obręczy i pozwolą na wyjęcie koła. Hamulce szczękowe nie utrudniają wyjęcia koła z ramy i nie muszą być na razie rozkręcane.

Przy dalszej pracy należy sobie ustalić kolejność przechodzenia od części do części, aby żadnej nie ominąć.

Łańcuch

Najrozsądniej chyba zacząć od łańcucha, który musi być najpierw wymyty w nafcie. Zwija się go w tym celu luźno w spiralę, układa na dwu drewnianych klockach na dnie płaskiego naczynia i zalewa naftą tak, aby go całkowicie pokryła. Należy go teraz zostawić co najmniej na 24 godziny.

Brud, błoto i zaschłe smary rozpuszczą się w nafcie i osad z nich opadnie na dno. Dlatego to kładzie się łańcuch nieco wyżej, na klockach, ażeby nie musiał leżeć w tym mule na dnie.

Po skończonej kąpieli przepłukać łańcuch w czystej nafcie i wytrzeć do sucha. Następnie w innej blaszance nagrzać gęstego oleju albo wazeliny i wpakować

tam łańcuch na jakiś czas, żeby rozrzedzony smar dostał się w każdy zakamarek każdego ogniwka. Wyjąć go wreszcie, potrzymać chwilkę nad blaszanką, aby smar ociekł, i wytrzeć szmatą do sucha. Łańcuch znów gotów do użytku.

Rama

Po włożeniu łańcucha do kąpieli naftowej można powrócić do hamulców i ramy.

A więc oczyścić dokładnie prowadnice hamulcowe z brudu i zbadać, czy ich śrub rdza nie przeżarła, gwint na nich w porządku i czy w ogóle nadają się jeszcze do pracy.

Zbadać następnie i oczyścić właściwe hamulce i system dźwigniowy. Wyprostować poszczególne pręty, jeśli trzeba, i zbadać, czy złącza są w porządku.

Szczególną uwagę poświęcić klockom ciernym, które prawie na pewno trzeba będzie zastąpić nowymi. Klocki były kiedyś robione ze zwykłej twardej gumy, obecnie jednak są wykonywane z tak przemyślnie preparowanej kombinacji gumy, płótna i innych materiałów, że zapewniają jednakowo skuteczne działanie hamulców zarówno w czasie pogody, jak i podczas deszczu. Nie ma co tu oszczędzać pensa czy dwóch, lecz kupować klocki najlepszej jakości (np. Ferodo), gdyż od sprawności pracy hamulców zależy nasze bezpieczeństwo.

Nabyć klocki można albo już w oprawkach metalowych, gotowe do przykręcenia, albo też luzem i samemu osadzić je w posiadanych oprawkach, (jeśli te zbytnio nie zardzewiały), usunąwszy z nich poprzednio klocki zdarte.

Mniej kłopotu sprawiają hamulce szczękowe, używane we wszystkich bardziej sportowych maszynach. Łatwiej w nich się dobrać do klocków, w ten sam zresztą sposób skonstruowanych, co i w poprzednim typie.

Sprawdzić, czy szczęki nie są zgięte zwłaszcza przednie), czy nie za luźne, czy nie trzeba dokręcić śruby mocującej. Zbadać, czy stalowe linki pociągowe nie zardzewiały w pochwach i czy luźno chodzą. — Podregulowanie długości linek i sprawdzenie działania rączek może być odłożone na sam koniec, przy ostatecznym porządkowaniu złożonego już roweru.

A teraz sama rama.

Dokładnie obejrzeć każdą jej rurę, czy nie zgięta lub wgnieciona od uderzenia i czy wszystkie złącza rur są w porządku. Każda rura, uderzona lekko kawałkiem metalu, winna dzwonić czystym dźwiękiem, jak dzwon. Brzęk, jak rozbitego garnka, zdradza pęknięcie. Szczególnie starannie sprawdzić trzeba, czy końce dwu rur, zbiegających się u kierownika, nie są zgięte przy złączach.

Dwa są łożyska wbudowane w ramę i oba zasługują na bardzo staranną uwagę. Jedno — to główne łożysko napędowe, a drugie — łożysko kierownika.

Rozebranie łożyska głównego jest robotą nader skomplikowaną, wymagającą odjęcia obu ramion pedałowych. Do tej roboty trzeba mieć sporo wprawy i zdolności mechanicznych. Aczkolwiek jest bardzo pożądane ze względu na dobro roweru, może być chyba polecane tylko osobom wprawnym i zaawansowanym w sztuce doglądania roweru. Jeśli więc przy pokręcaniu pedału ręką nie wyczuwa się oporów w łożysku i nierówności w obracaniu, nie wyczuwa się grud rozbitych kulek albo wydartego łożyska (w tym wypadku należy się udać o pomoc do fachowca), — jedyne, co tu zrobić można, to obfite naoliwienie łożyska.

Oliwę lać przez umyślny otworek, a nie w szpary między oś i łożysko. Oliwa płynąc zabiera ze sobą brud, opiłki, piasek; jeśli więc jest wprowadzona z nieodpowiedniej strony, zaniesie je do wnętrza. Natomiast wlana dziurką do środka, wyciekając bokami, wymywa brud na zewnątrz i czyści łożysko.

Łożysko kierownika nie ma szczęścia u konstruktorów: nie widzi się, aby kiedykolwiek było wyposażone w dziurkę do oliwienia. Składa się z dwu stalowych, odpowiednio wyżłobionych pierścieni, które mogą się obracać jeden względem drugiego dzięki kulkom, znajdującym się między nimi. Pierścień dolny obraca się wraz z widelcem przedniego koła, górny jest nieruchomy, osadzony w ramie. Całe łożysko jest niewidoczne i niedostępne od góry i z tego powodu rzadko oliwione. Dopiero w pozycji roweru do góry kołami można zajrzeć do niego i stwierdzić, że jest poważnie zanieczyszczone, suche, a może i zardzewiałe.

Obfite naoliwienie zazwyczaj wystarczy. W wypadku jednak uszkodzenia, lub zagubienia kulek trzeba widelec wyjąć, aby móc rozebrać łożysko. Przy tej operacji odjęcie kierownika jest pożądane, lecz niekonieczne. Jeśli odkręcić duże nakrętki na szczycie przedniej, krótkiej rury ramy (najlepiej to zrobić przy normalnym położeniu roweru, kierownikiem ku górze), wówczas można widelec pociągnąć ku dołowi, kilka cali, na tyle, na ile kierownik pozwoli. Wystarczy to jednak w zupełności, aby wszystkie kulki wypadły z łożyska i aby uzyskać dostęp do pierścieni.

Oczyściwszy pierścienie i zbadawszy, czy są w porządku, oraz skompletowawszy kulki, — trzeba złożyć łożysko z powrotem. W tym celu wskazane jest nasmarować dolny pierścień grubo wazeliną i w nią powciskać kulki. Przylepione wazeliną, nie rozbiegną się przy składaniu łożyska. Dociskając nakrętki mocujące, uważać, aby pozostawić swobodę obrotu widelca, ale ażeby z drugiej strony nie było luzu, który powoduje niebezpieczne drganie przedniego koła przy hamowaniu.

Niemal nieustannie podczas pracy trzeba trzymać w ręku kawałek gałgana i co chwila ścierać nim to kupkę błota, zmieszanego z oliwą, w jednym miejscu, to rdzę w drugim, to suchy kurz i piasek w innym. Niemało się tego uzbiera na wszelkiego rodzaju uchwytach, zamocowaniach, koło hamulców, ale najwięcej na błotnikach.

Zabierając się do odświeżenia swego stalowego rumaka, trzeba już zawczasu się zdecydować, czy mu należy sprawić nową parę błotników, czy tylko odświeżyć już istniejące. Warto przy tym wziąć pod uwagę, że nowe błotniki kosztują stosunkowo niewiele, natomiast bardzo przydają urody rowerowi, niemal go odnawiając. Przy kupnie błotników nie można pożałować czasu i starania i wyszukać właśnie taką parę, która będzie idealnie pasowała do roweru.

Zbyt wiele czasu zabrałoby szczegółowe opisywanie wszystkich rodzajów błotników i sposobów ich zamocowywania do ramy. Jedyne więc, co tu poradzić

można, to szczegółowe i dokładne przyjrzenie się starym błotnikom i zapamiętanie, w jaki sposób są przymocowane, aby podobnie przymocować nowe.

Ostatnią chyba robotą przy ramie będzie doprowadzenie do porządku i odświeżenie pedałów. Jeśli nie są zbyt użyte i nie napraszają się na wyrzucenie, zbawcza oliwa może tu wszystko. Położywszy ramę na bok, lać trzeba oliwę w otworek pedału, znajdującego się w danych warunkach na górze, pokręcając przy tym pedałem tak długo, aż wyciekająca z drugiej strony wymyje wszystek brudny osad ze środka.

Gałgan, umiejętnie użyty przeciw zaschłym czy nie zaschłym kupom błota w mniej i więcej dostępnych miejscach, wielce się przyczynić może do przywrócenia pedałom choć części ich dawnej świeżości.

Skończywszy z jednym pedałem, odwrócić ramę na drugą stronę i przemyć oliwą drugi.

Przy sposobności poświęcić nieco uwagi napędowemu kołu zębatemu. Sprawdzić, czy równo chodzi i czy nie zaczepia o ramę, oraz czy zęby nie uległy zużyciu, objawiającemu się jako podcięcie z jednej strony. W pierwszym wypadku można jeszcze dać radę i koło naprostować, w drugim — trzeba kupić nowe, wraz z korbami pedałowymi.

Koła i opony

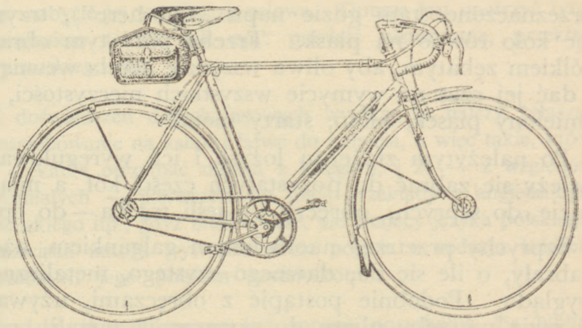
Koło wychodzi z ramy razem z osią i łożyskiem.

Oś — jest to pręt stalowy, w znacznej części z obu stron nagwintowany. Przechodzi przez środek piasty koła, zakończonej z obu stron czymś w rodzaju miseczek. Z obu krańców nakręcone są na oś stożkowe nakrętki wierzchołkami ku miseczkom. Obie te, odpowiadające sobie części są tak ukształtowane, że utrzymują między sobą wianuszek kulek, stanowiących wraz z nimi łożysko kulkowe.

Warto zastanowić się chwileczkę, jak pracuje to łożysko. — Otóż oś i oba stożki są nieruchome, zamocowane do ramy, obraca się natomiast koło wraz z miseczkami i toczącymi się wewnątrz nich kulkami. Dzięki temu coraz to inna kulka podchodzi pod tę samą, dolną część stożka i dźwiga na sobie przez moment ciężar jeźdźca i maszyny. Miseczka ma dużą powierzchnię nośną, a przy tym obraca się; kuleczki również się obracają i pracują kolejno jedna po drugiej; natomiast dolna część stożka pracuje bez wytchnienia, toteż ściera się szybciej niż one. Nic też dziwnego, że po kilku miesiącach pracy stożki zostają dosłownie wyżłobione z jednej strony.

Zazwyczaj stożki unieruchomione są na osi przeciwnakrętkami. Przy rozbieraniu osi trzeba je odkręcić, a następnie zluzować jeden stożek tak, aby wypuścić kulki z łożysk. Zebrać je ostrożnie do pudełka i przeliczyć dokładnie. Wreszcie odkręciwszy stożek całkowicie — wyjąć oś z piasty.

Piastę, oś, kulki, stożki i nakrętki bardzo starannie oczyścić i wytrzeć czystym, suchym gałgankiem oraz obejrzeć dokładnie, czy są w dobrym stanie. Kulki muszą błyszczeć jak nowe, powierzchnia ich ma być gładka, bez rys i pęknięć. W wypadku uszkodzenia choćby jednej czy paru kulek — należy cały ich zespół zastąpić nowym. Stare kulki uległy już pewnemu starciu od użycia, gdyby je więc zmieszać z nowymi,



Rower nowoczesny

nieznacznie tylko większymi, spowodowałoby to nierównomierny rozkład ciśnienia na kulki i nierówny bieg łożyska.

Jeśli stożki są zanadto wyżłobione z jednej strony, należy je zastąpić nowymi. Każda ich nierówność powoduje nierówny bieg kulek, przytykanie i strzelanie uderzających o siebie kulek podczas jazdy roweru.

Innym częstym uszkodzeniem jest zgięcie osi; zdarzyć się to może wskutek wpadnięcia w jakiś wyjątkowo podły wybój. Oś zgiętą trudno naprawić. Najczęściej wysiłki, robione w tym kierunku, kończą się uszkodzeniem gwintu, tj. ostatecznym jej zepsuciem. — Nie ma rady, trzeba kupić nową oś!

Miseczki na piaście również wytrzeć starannie i zbadać, czy wewnętrzna ich powierzchnia jest równa, gładka, bez zadziorów i dziur. W razie uszkodzenia samemu nic tutaj poradzić nie można.

Przy składaniu łożyska trzeba najpierw nakręcić na oś jeden stożek, pamiętając o unieruchomieniu go przeciwnakrętką w takim miejscu, żeby później, po całkowitym skręceniu łożyska, jednakowej długości końce osi sterczały z obu stron. Następnie, położywszy koło na płask, nasmarować grubo wazeliną miseczkę i wetknąć w nią tyle kulek, ile ich tam było przy rozbieraniu. Teraz przesunąć oś przez piastę koła tak, aby unieruchomionym stożkiem weszła w miseczkę z kulkami, spychając je na właściwe miejsca. Trzymając ją ręką w tym położeniu, odwrócić koło na drugą stronę. Nasmarować wazeliną drugą miseczkę, wcisnąć w nią kulki i wkręcić drugi stożek, aby i on wszedł całkowicie w miseczkę, uniemożliwiając teraz ruch osi i wypadnięcie kulek. Przy pomocy dwu płaskich kluczy zacisnąć go przeciwnakrętką w takim położeniu, aby przy pokręcaniu palcami osi nie wyczuwało się ani śladu luzu osi w łożysku, a jednocześnie, aby obrót odbywał się lekko, gładko i „jedwabiście".

Łożyska obu kół różnią się właściwie tylko grubością osi oraz tym, że piasta koła tylnego dźwiga ponadto zębatkę przekładni łańcuchowej. Przy „ostrym kole" będzie to małe kółko stalowe z 14 do 20 zębami, a przy „wolnym kole" kółko z tyluż zębami i zapadką, pozwalającą na obrót tylko w jednym kierunku.

Ostre koło nie wymaga pielęgnacji. Najwyżej winno być wymienione na nowe, gdyby jego zęby zbytnio uległy zużyciu i przybrały kształt hakowaty od starcia z jednej strony, natomiast wolne koło należy oczyścić i zbadać, czy nie jest zbytnio zużyte. Należy je przemyć oliwą, lejąc ją w miejsce na to

przeznaczone (tam gdzie napis „Oil here"), trzymając koło równo na płask. Trzeba przy tym obracać kółkiem zębatym, aby oliwa wszędzie doszła wewnątrz, i dać jej czas na wymycie wszystkich nieczystości, jak zmielony piasek, błoto, starty metal.

Po należytym złożeniu łożysk i ich wyregulowaniu należy się zabrać do pozostałych części kół, a mianowicie do szprych, obręczy i — jeśli trzeba — do opon.

Szprychy przetrzeć naoliwionym gałgankiem, ażeby nabrały, o ile się da, dawnego czystego, metalicznego wyglądu. Podobnie postąpić z obręczami, używając w razie potrzeby płynu do czyszczenia metali.

Należy również sprawdzić, czy koło nie „bije" na boki. Najlepiej to zrobić, zamocowując je z powrotem na jego właściwym miejscu w ramie i obserwując, jak przy obracaniu się przebiega między widełkami. Te miejsca obręczy, którymi przybliża się bardziej do jednej czy drugiej strony, można zaznaczyć kredą. Gdy mianowicie przysuwać ostrożnie kredę do obręczy obracającego się koła, przyjdzie chwila, że jedno lub drugie jej miejsce zaczepi o nie wcześniej i ubieli się. — Zatrzymawszy wówczas koło, trzeba kluczem do szprych zluzować odrobinkę ze dwie, trzy szprychy po tej stronie koła i w tej okolicy, gdzie był ślad od kredy, a naciągnąć szprychy po drugiej stronie. Niepotrzebne już teraz białe ślady zetrzeć i próbę z kredą ponowić. Nowe białe ślady znowu wskażą miejsca, w których szprychy wymagają poprawienia. Próby te powtarzać tak długo, aż wreszcie się uzyska możliwie idealnie równy bieg koła.

Warto przy tym przestrzec, że praca to bardzo trudna, wymagająca niesłychanej cierpliwości i dużo wprawy. Wydaje się jednak, że sztukę tę powinno się opanować w jakim takim stopniu, gdyż zwichrzenie się koła jest bardzo częstym wypadkiem.

MARIA DANILEWICZOWA

KSIĄŻKI POLSKIE W BIBLIOTEKACH ANGIELSKICH

Każdemu z nas zdarza się przystanąć przed wystawą księgarni i w myśli dzielić książki na warte nabycia, obojętne i takie, które chciałoby się przejrzeć lub przeczytać. Jest to odruch najzupełniej naturalny. Na własność chce się pozyskać książki trwałej wartości, utwory autorów ulubionych, wreszcie książki — narzędzia pracy, a więc podręczniki zawodowe, tablice do obliczeń, słowniki itp.

Warunki mieszkaniowe, złączone z trudnościami finansowymi, sprawiają, że narastanie księgozbiorów prywatnych postępuje powoli, — nawet u miłośników książki, którzy odmówić sobie potrafią i papierosa i butelczyny, byle zaoszczędzić na „strawę duchową". Czytać chce jednak wielu i to czytać dużo, swobodnie, na dowolne interesujące w danej chwili tematy.

Z zazdrością patrzymy na Anglików, którzy mają do rozporządzenia tanie wypożyczalnie płatne, rozprowadzające nowości wydawnicze, oraz gęstą sieć doskonale funkcjonujących bibliotek publicznych.

Prawdą jest, że w warunkach biedy emigracyjnej mamy możliwości bardzo ograniczone, że bibliotek polskich jest za mało, a istniejące cierpią na mały dopływ książek, zwłaszcza nowości.

Sama tego głodu nowości nie rozumiem. Lepiej jest sięgnąć po książkę, wydaną lat temu kilkanaście, czy nawet kilkadziesiąt, a napisaną przez dobrego autora, niż ziewać nad t.zw. nowością. Zgadzam się jednak z tymi wszystkimi, którzy twierdzą, że po kilkakrotnym przeczytaniu „Trylogii", „Faraona", „Chłopów" itd. itd., chcieliby, bodaj dla zmiany wrażeń, sięgnąć po coś nowego.

O to „coś nowego" trudno jednak w małych biblioteczkach organizacyjnych i obozowych, operujących mikroskopijnymi budżetami. Jeszcze trudniej w miejscowościach, gdzie brak nawet i tych małych biblioteczek polskich, a Polacy mieszkają w pojedynkę lub w bardzo małych skupieniach. O tych samotnych, rozrzuconych po całej Wielkiej Brytanii, myślę przede wszystkim, pisząc ciąg dalszy moich notatek bibliotekarskich.

Wiem, że oni właśnie — bez względu na wysokość zarobków — należą do najlepszych klientów księgarń i kiosków polskich, że korzystają ze skromnych możliwości wypożyczania książek ze wszelkich dostępnych bibliotek polskich — i że wszystko to nie wystarcza na wypełnienie samotnych wieczorów i długich niedziel, gdy deszcz dzwoni o szyby a wichura świszczy w kominku.

W czasie wędrówek po mieście — dowolnym mieście angielskim, szkockim, czy walijskim — spotykamy się z budynkami bibliotek publicznych, — ale często brak nam odwagi, by próg ich przekroczyć. A szkoda. Biblioteki te mogą nam pomóc w niejednym, — nawet w zdobyciu nowych książek polskich do przeczytania w formie wypożyczenia. Nie należy się wahać przed ich odwiedzeniem.

Na to, by wejść do czytelni czasopism, czy zajrzeć do encyklopedii, atlasu lub słownika, nie trzeba być członkiem biblioteki; zrobić to można w każdej chwili, bez żadnych formalności. Do książki życzeń czytelników, wyłożonej w każdej bibliotece, wpisać można każde uzsadnione życzenie. Jeśli grupa czytelników polskich, zamieszkałych w danej miejscowości i zatrudnionych w lokalnych warsztatach pracy, poprosi o zaprenumerowanie jednego lub dwu czasopism polskich, — kierownictwo biblioteki na pewno nie przejdzie nad żądaniem tym do porządku dziennego, — a duże są szanse, że prośbie uczyni zadość. Trzeba tylko określić dokładnie tytuł czasopisma, częstość wycho-

dzenia (dziennik, tygodnik, miesięcznik), cenę prenumeraty i adres wydawnictwa.

Na to, by czytać książki, trzeba stać się członkiem biblioteki. W przeciwieństwie do wypożyczalni płatnych, takich, jak np. prowadzone przez firmę Booth's lub księgarnie W.H. Smith'a, — z bibliotek publicznych korzysta się bezpłatnie. Stoją one otworem dla wszystkich. Kartę wstępu otrzymać można po dopełnieniu prostych formalności. Są one różne w różnych miejscowościach, ale zasadniczo sprowadzają się do wypełnienia deklaracji, w której przyszły czytelnik zobowiązuje się do przestrzegania regulaminu biblioteki, zawiadamiania o zmianie adresu, zgłaszania wypadków chorób zakaźnych (by książka mogła być poddana dezynfekcji przed wypożyczeniem jej następnemu czytelnikowi) itp. Większość bibliotek żąda okazania dowodu osobistego (identity card) i referencji stałego mieszkańca, płacącego t.zw. „rates", t.j. podatki samorządowe, albo pracodawcy. To ostatnie odnosi się w szczególności do osób, które wolą korzystać z biblioteki, położonej w pobliżu miejsca pracy, niż miejsca zamieszkania, ze względu na to, że wygodniej im zmieniać książki w porze obiadowej lub wieczorem przy powrocie z pracy.

Po dopełnieniu tych formalności czytelnik otrzymuje dwie albo trzy „kieszonki", upoważniające do wypożyczenia książek. Każda z nich opatrzona jest jego nazwiskiem i adresem. Wchodzi na salę, krąży po niej, przegląda (i wstawia na miejsce po przejrzeniu) dowolne książki, zastanawia się nad wyborem — i wreszcie decyduje się na wypożyczenie dwu lub trzech wybranych. Kieruje się do wyjścia — i tam wybrane przez niego tomy stemplowane są datą zwrotu na kartce, naklejonej na początku książki, a „kieszonki" (wraz z małymi karteczkami wyjętymi z analogicznych „kieszonek", wlepionych do każdego tomu bibliotecznego), wędrują do kartotek biblioteki i czekają tam cierpliwie aż do daty zwrotu. Następuje ona zazwyczaj po dwu tygodniach, i biada temu, kto o terminie zapomni. Biblioteki angielskie, miłe i grzeczne dla sumiennych czytelników, spokoju nie dadzą grzesznikowi i póty gnębić go będą upomnieniami i karami, dopóki własności nie odzyskają.

Nowy czytelnik jest jednak zazwyczaj pełen dobrych chęci i zapału. Entuzjastycznie wkracza do zastawionej półkami sali bibliotecznej, oznaczonej angielskim napisem „lending room" (wypożyczalnia). Półki uginają się od książek, otaczają go wokoło; duże napisy informują, gdzie odszukać można książki z interesującego go działu — a więc np. stolarstwa, zegarmistrzostwa, ogrodnictwa itp. Tysiące powieści! setki życiorysów! — cóż, kiedy książek polskich nie ma nawet na lekarstwo, — a jeśli nawet idzie już jakoś czytanie po angielsku, chce się, choć od czasu do czasu, poczytać po polsku. Są książki francuskie, niemieckie, — zdarzają się czasem włoskie i hiszpańskie, — ale polskich nie ma!

Mogą jednak być. Trzeba się tylko o nie postarać. Stali mieszkańcy miasta, ci zwłaszcza, którzy stali się właścicielami nieruchomości i płaceniem podatków przyczyniają się do utrzymania biblioteki, mogą prosić bibliotekarza o zakupienie określonej książki polskiej, podając nazwisko autora, tytuł książki, cenę i źródło nabycia, a więc adres (dokładny) księgarni polskiej, która książkę daną ma na składzie. Lepiej, gdy dezyderaty takie zgłaszają grupy Polaków, — dyrekcja biblioteki widzi bowiem wówczas, że książka zdobędzie wielu czytelników, wobec czego nabycie jej jest rzeczą celową. Dobrze jest opatrzyć tytuł objaśnieniem takim, jak np.: powieść historyczna, przekład z francuskiego itp.

Z doświadczeń dotychczasowych wynika, że należy zgłaszać zapotrzebowanie na książki łatwe do nabycia, a więc takie, które bez czekania otrzymać można z księgarń, i że — z względów zrozumiałych — pierwszeństwo mają przekłady z angielskiego, francuskiego itp., gdyż bibliotekarz, nie znający języka polskiego, z nazwiska autora wytwarza sobie pojęcie o rodzaju książek, potrzebnych jego polskim czytelnikom.

Bardziej skomplikowana jest sprawa pozyskania dla biblioteki publicznej angielskiej większego zespołu książek polskich. Trudno było przełamać lody uprzedzeń, ale zrobiono już coś niecoś. Tak więc w kilku miejscowościach Anglii środkowej biblioteki publiczne przystąpiły do tworzenia działów polskich, nabywając małe kolekcje książek. W innych z tego samego obszaru — znalazły się w ostatnich czasach zbiorki, składające się z 30-50 tomów, wypożyczonych na okres trzech miesięcy z polskiej Biblioteki Uniwersyteckiej w Londynie (Polish University College Library). Dla przykładu wymienię tu takie miejscowości, jak Rochdale, Middleton, Heywood, Lancaster, Leeds, Failsworth, Pontypridd etc.

Przyszłość i powodzenie tej akcji zależne są w dużym stopniu od czytelników polskich. Jeśli, nie zrażając się małą ilością książek, uczęszczać będą systematycznie do bibliotek miejscowych, a postępowaniem swym nie będą sprawiać kłopotu (myślę tu przede wszystkim o przetrzymywaniu i niszczeniu książek), — to w wielu wypadkach spodziewać się można żywego oddźwięku i pomocy ze strony bibliotekarzy angielskich. W pracy swej kierują się oni w dużym stopniu zdrowym rozsądkiem. Gdy widzą, że na książki polskie istnieje duże i trwałe zapotrzebowanie, — że czytelnicy obchodzą się kulturalnie z wypożyczanymi książkami i zgłaszają rozsądne zapotrzebowania — starają się iść im na rękę, często okazując przy tym dużo serca i życzliwości.

Pamiętać jednak należy o tym, że najżyczliwiej nawet nastrojony bibliotekarz angielski nie może bez znajomości języka polskiego i literatury dokonać wyboru książek. Radzić mu w takich wypadkach należy, by zwracał się o pomoc do polskiej Biblioteki Uniwersyteckiej (Polish University College Library, 1, Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Road, London, S.W.1) bezpośrednio, lub — jeśli mu to bardziej odpowiada — za pośrednictwem National Central Library, Chancer House, Malet Place, W.C.1, lub wreszcie Związku Bibliotekarzy Angielskich (Library Association) pod tymże adresem. Przy pomocy tych instytucyj otrzymać można wskazówki co do doboru i źródeł zakupu książek, informacje bibliograficzne itp.

Przy podejmowaniu starań o książki polskie w bibliotekach publicznych angielskich dobrze jest wystarać się o poparcie angielskich przyjaciół, którzy na pewno nie uchylą się od zreferowania potrzeb i udzielenia pomocy.

Jeśli od rozpoczęcia starań do nadejścia książek upłynie kilka tygodni czy nawet miesięcy — i starać się i czekać warto. Przed nami jest lato, a od wieczorów jesiennych dzieli nas właśnie owych kilka miesięcy.

Z ŻYCIA YMCA

WIECZÓR TAŃCA, MUZYKI I PIEŚNI POLSKIEJ

Sekcja Polska YMCA w W. Brytanii organizuje w Londynie w dniu 11 kwietnia br. koncert sztuki polskiej. Poza zespołem tanecznym Polskiej YMCA w programie wezmą udział: wybitny skrzypek polski prof. Wacław Niemczyk, znakomity artysta-śpiewak Covent Garden Opera Marian Nowakowski oraz chór młodzieży akademickiej. Akompaniować będą pp. Jerzy Sulikowski i R. Wolski.

Impreza ta odbędzie się w wielkiej sali Seymour Hall, mieszczącej około 1.300 osób. Wzbudziła ona zainteresowanie zarówno w społeczeństwie polskim, jak i wśród Brytyjczyków.

PRZENIESIENIE PLACÓWKI W SHEFFIELD

Klub Sekcji Polskiej YMCA w Sheffield zmienia swoją dotychczasową siedzibę. Z początkiem kwietnia rb. odbędą się przenosiny na Chapel Lane, Worksop Road, Attercliffe, Sheffield, 9. Nowe pomieszczenie składa się z dużej sali oraz pokojów dodatkowych. Będzie ono przeznaczone do wyłącznego użytku Klubu i posiada osobne wejście. Dzięki rozdzieleniu sali głównej na trzy części przy pomocy zasłon uzyska się osobne miejsce na czytelnię, ping-pong i jadalnię. Klub ma ponadto możność korzystania z wielkiej, doskonale urządzonej sali teatralnej, mieszczącej się w tym samym budynku.

Obecnie dobiegają końca prace, związane z przystosowaniem lokalu do potrzeb klubu i zaopatrzeniem go w sprzęty.

Klubowi w Sheffield składamy gratulacje z okazji pozyskania nowej siedziby i życzymy dalszej owocnej działalności.

Z DZIAŁALNOŚCI PLACÓWEK W WIELKIEJ BRYTANII

Klub Towarzyski YMCA w Londynie organizuje w kwietniu wystawę p.n. „Architektura polska w zdjęciach". Eksponaty obejmować będą głównie polskie budownictwo drewniane, kościelne i cerkiewne. W dniu 23 kwietnia odbędzie się otwarcie wystawy rysunków K. Dźwiga. Zwiedzanie wystaw w londyńskich muzeach i galeriach sztuki odbywać się będzie nadal pod przewodnictwem prof. Mariana Szyszko-Bohusza. W związku ze zbliżającym się sezonem turystycznym odbędą się zebrania informacyjne i organizacyjne sekcji wycieczkowej rowerowej, turystycznej i wodnej. Szachy znajdują coraz więcej zwolenników.

Placówka w Barnsley zorganizowała systematyczne treningi ping-pongowe. Powstało tam Koło Przyjaciół „Wiadomości", które postawiło sobie za cel szerzenie prenumeraty tego czasopisma i omawianie zawartych w nim artykułów. Na zebraniach tego Koła poza stałymi członkami bywają również goście. Koło nawiązało korespondencję z redakcją „Wiadomości".

SZKOLENIE PRZODOWNIKÓW IMKARSKICH

W Prien (na obszarze amerykańskiej strefy Niemiec) odbyły się w lutym rb. trzy kursy, organizowane wspólnie przez YMCA/YWCA. Dwa skupiły łącznie 27 kobiet i 177 mężczyzn. Trzeci — przeznaczony dla sekretarzy imkarskich — miał 23 słuchaczy. Program obejmował wykłady teoretyczne i ćwiczenia praktyczne.

OBOZY NARCIARSKIE

Studenckie grupy YMCA/YWCA w strefie amerykańskiej Niemiec wzięły udział w obozach narciarskich w Mittenwald. Celem obozu było umożliwienie taniego spędzenia świąt oraz wzmocnienie kontaktów między studentami różnych uczelni.

ŻYWY DZIENNIK

W Heilbronn Polacy, zorganizowani w YMCA, wykonali program „Żywego dziennika", który zawierał aktualne wiadomości, informacje o nowych zarządzeniach władz i o ruchu emigracyjnym, oraz obfitą część artystyczną z tańcami, muzyką i śpiewem. Całość została powtórzona w miejscowym szpitalu przeciwgruźliczym.

KONFERENCJA W STREFIE AMERYKAŃSKIEJ

W początkach lutego, z inicjatywy dyrektora YMCA, w strefie amerykańskiej odbyła się konferencja, poświęcona omówieniu aktualnych zagadnień YMCA, związanych z obecną sytuacją wysiedleńców na obszarze Niemiec. Uczestnikami byli pracownicy YMCA, zajmujący stanowiska kierownicze w pracach YMCA na obszarze strefy amerykańskiej. Omówiono m. in. sprawę zwalniania pracowników, zwrotu zaopatrzenia z obozów, które uległy likwidacji, i przygotowań do dalszej działalności.

KURS KORESPONDENCYJNY DLA OŚWIATOWCÓW

Przypominamy, że zapisy na Kurs Korespondencyjny dla pracowników kulturalno-oświatowych, organizowany przez Sekcję Polską światowego Komitetu YMCA w Wielkiej Brytanii, trwać będzie do dnia 1 maja dla osób, zamieszkałych na wyspach brytyjskich, i do dnia 20 maja dla kandydatów z innych krajów. Szczegóły w sprawie programu znaleźć można w poprzednim numerze naszego czasopisma.

P R O G R A M

WIECZORU TAŃCA, MUZYKI I PIEŚNI POLSKIEJ,

o r g a n i z o w a n e g o

przez Sekcję Polską Światowego Komitetu Y.M.C.A. w W. Brytanii
w dniu 11 kwietnia 1950 roku.

C Z Ę Ś Ć I.

Przemówienie wstępne — prof. William J. Rose

1. Gaik (z kujawiakiem)
   — *odtańczy ZESPÓŁ YMCA*
2. Stanisław Moniuszko: Pieśń Chorążego
   O matko moja
   Dwie zorze
   Stanisław Niewiadomski: Chorągiewka
   Dzwony
   — *odśpiewa MARIAN NOWAKOWSKI*
3. Gęsiareczka (oberek)
   — *odtańczy BARBARA SŁAWIŃSKA*
4. Wieczorynka Śląska
   — *odtańczy ZESPÓŁ YMCA*
5. Wacław Lachman: Hasło
   Z tamtej strony jezioreczka, mel. ludowa, ukł. Romualda Fadanellego
   Na janickową nutę, wiązanka pieśni góralskich
   — *odśpiewa CHÓR POLSKIEGO TOW. ŚPIEWACZEGO*
6. Taniec zbójnicki
   — *odtańczy ZESPÓŁ YMCA*

P r z e r w a 10 m i n.

C Z Ę Ś Ć II.

1. P o l o n e z
   — *odtańczy ZESPÓŁ YMCA*
2. Henryk Wieniawski: Polonez
   Józef Ignacy Paderewski: Melodia, ukł. F. Kreislera
   Fryderyk Chopin: Nokturn, ukł. Sarassate
   Karol Szymanowski: Źródło Aretuzy
   Wacław Niemczyk: Etude en forme de Mazourka
   Henryk Wieniawski: Tarantella
   — *odegra WACŁAW NIEMCZYK*
3. M a z u r
   — *odtańczy ZESPÓŁ YMCA*
4. Jan Karłowicz: Nie płacz nade mną
   Smutna jest dusza moja
   Zawód
   Jan Gall: Zaczarowana królewna
   A. K.: Pożegnanie
   — *odśpiewa MARIAN NOWAKOWSKI*
5. „Z albumu prababki'', mazurek, muzyka Ryszarda Wolskiego
   — *odtańczą OLGA ŻEROMSKA i JERZY FILIPIAK*
6. O ziemio ojców, ukł. Z. Moczyńskiego
   Gaik, melodia ludowa, ukł. Kołaczkowskiego
   Grossman: Krakowiak, ukł. Kołaczkowskiego
   — *odśpiewa CHÓR POLSKIEGO TOW. ŚPIEWACZEGO*
7. K r a k o w i a k
   — *odtańczy ZESPÓŁ YMCA*